

I.

Ustalmy jedno: jestem jednostką, która w żadnym przypadku nie może być stawiana jako wzór do naśladowania. Nic równie głupiego nie można by wymyśleć. Jedyne, co mi się nasuwa (rozsuń wreszcie te zasłony, niech trochę światła wpadnie), to porównanie, na jakie wpadłem tuż przed zaśnięciem pewnej nocy. Otóż czuję się jak zdevaluowany pieniądz, którego nie można już wymienić na taki z mniejszą liczbą zer na końcu.

Aha, przypomniałem sobie. Wczoraj wieczorem rozdeptałem z premedytacją swój telefon komórkowy. To żadne osiągnięcie, bo uczyniłem to w indywidualnym akcie niewidocznej dla nikogo desperacji. Gdybym postarał się o nagłośnienie tego haniebnego wydarzenia, z pewnością przybrałoby ono kształt symbolu z całą wielobarwną paletą jego wieloznaczności.

Rozsuwam zasłony. Polecenie rozsunięcia zasłon wydałem przecież samemu sobie, bo jestem sam i nieład jaki po sobie pozostawiam wyczotgując się z pościeli może trwać cały boży dzień i nawet nie próbuję tego zmienić, bo po co. Dobrze mi z tym bałaganem, a odrobina światła staje się luksusem, lecz z drugiej strony obnaża moją bezczynność i przejawia nieporządek, jaki sobie zgotowałem.

Wdziwam na siebie stary szlafrok, w którym wyglądam zabawnie: taki długi, po kostki, granatowy jak zmrok, atłasowy w dotyku, lejący w formie, chłodny przy włożeniu na siebie, a jednak chroniący przed zimnem z zewnątrz.

Ryzykuję. Otwieram okno i cała ta miękka, galaretowata, poranna mgła wpętza do pokoju, uderza w nie do końca zakryty tors i czotgając się po dywanie chłodzi moje stopy i łydki. Łapią mnie dreszcze, ale wytrzymuję. Zaciągam się stojącym, rześkim powietrzem i automatycznie wzrasta pragnienie wypicia porannej kawy.

Jak to ona powiedziała? „Nadajesz się na czasy, które wyznaczają przemianę. Takie czasy jak po wojnie, po katastrofie, kiedy nadchodzi czas wielkiej przebudowy. W tych obecnych, gdy życie

jest już uporządkowane, kiedy nikt nie żąda od ciebie poświęceń dla s p r a w y, giniesz w tłumie." Młoda, uparta, przeraźliwie inteligentna i przenikliwa wypowiada się jak doświadczona interpretatorka karcianych pasjansów. Nie wiem, czy dla mężczyzny takie rozszyfrowanie jego osobowości to powód do dobrego samopoczucia. Chciałoby się wymagać więcej tajemniczości, niedopowiedzeń, tymczasem ta, jak obuchem w głowę zdzieliła i ma cię jak na widelcu. Ale tak zastanówmy się poważnie, czy w moim wieku wypada jeszcze marzyć o życiu w czasach przełomu. Komu mógłbym być teraz potrzebny?

Wczoraj z kolei sąsiadka z parteru aż wybiegła za mną na ulicę, nie mogąc się nadziwić, że po zamieceniu całego pionu od trzeciego piętra, zszedłem przed dom i zacząłem obmiatać chodnik przed frontowym wejściem.

- Co pan, na litość boską, robi? Od tego jest gospodarz domu.

- Do diabła z gospodarzem domu - odparłem poruszony. - Gdyby tak każdy z lokatorów choć raz w miesiącu ... - przerwałem w pół słowa, bo znów odezwał się we mnie ten człowiek, który, przesiąknięty dydaktyzmem, zmierza prostą drogą do ratowania świata.

W gruncie rzeczy sąsiadka nie była mi nieprzychylna i jeszcze tego samego popołudnia umyła trzy okna na klatce schodowej, bo, jak powiedziała, „nie może ścierpieć tego brudu przylepionego do szyb, spoza których świata nie widać.”

Jest więc poranna kawa, pita przy uchylonym oknie, lecz dla równowagi, ubrana w ciepły wełniany sweter, trzymana w dłoni, a całość postaci zagłębiona w miękkość fotela. Kilka łyków i już lepiej, i można sięgnąć po papierosa (to z kolei dla równowagi ze świeżym, wilgotnym powietrzem, dostającym się do środka pomieszczenia przez uchylone okno). Kilka zaciągnięć się dymem i błogość rozlewa się po całym ciele. Gdzieś w rogu pokoju, między oknem a biblioteczką, na podłodze, rozczłonkowane fragmenty telefonu komórkowego szpecą atmosferę wnętrza.

- Jest mi dobrze - mówię do siebie i puszczając wodze fantazji wyobrażam sobie, że takie chwile towarzyszyć mi będą już do końca.

I nagle ten błogostan brutalnie przerywa dzwonek telefonu. Uświadomiłem sobie, że do zniszczenia pozostał jeszcze ten stacjonarny. Muszę więc przejść do przedpokoju, podnieść słuchawkę i wrócić na fotel (telefon stacjonarny jest przenośny i w gruncie rzeczy jest bardzo podobny do komórki). Ileż czasu to trwa! A ten dzwoni i dzwoni. ~~Tracę rachubę czasu.~~ W chwili gdy naciskam właściwy przycisk, ręce zaczynają mi drżeć. Opadam w fotel. Przykra konieczność zmusza mnie do powiedzenia:

- Tak, słucham?

- Nareszcie... dlaczego się nie odzywasz? - słyszę i pozwalam na dalszy ciąg. W rozmowie z nią zwykle bywam słuchaczem, a ona potrafi to bezlitośnie wykorzystać. Swoją drogą zastanawiam się, skąd ona bierze pieniądze na rozmowy. - Wiesz, że miałam bardzo przykre myśli? Martwiłam się o ciebie. Po tym, co cię spotkało, to chyba zrozumiałe, nie sądzisz? Tylko proszę cię, nie oponuj, szczerze mówię, że jest to sytuacja ~~przygnębiająca~~, która mnie przygnębia. Zaprosiłabym cię do siebie, a właściwie do leśniczówki mojego stryja. Nie ma drugiego takiego miejsca na świecie, gdzie mógłbyś lepiej wypocząć.

Przecież nie odezwałem się ani słowem i na dobrą sprawę powinna się zastanowić do kogo kieruje te słowa. Z jednej strony nie zwykliśmy rozmawiać z sobą zbyt często o sprawach osobistych; z drugiej musi przecież wiedzieć, że pozostałem wciąż silnym facetem, którego nie są w stanie upokorzyć byle niepowodzenia. ~~Czyżby czuła mój oddech?~~

- A powiesz mi, jak się czujesz?

- Było mi zimno, gdy wstałem, ale teraz, po wypiciu paru łyków kawy, czuję się znacznie lepiej.

- Właściwie to chodziło mi bardziej o to, jak sobie dajesz radę po t y m wszystkim.

- Śpię dłużej, co tylko poprawia moje samopoczucie - odpowiadam jednym ciągiem, aby dać jej do zrozumienia, że bagatelizuję całą sprawę.
- Zbywasz mnie, jak zwykle.
- Nie mam chęci o tym rozmawiać, jeszcze nie teraz - odpieram zarzut, utrzymując pozycję, jeśli nie napastnika, to kogoś, kto tylko czeka na ostrzał z drugiej strony, aby móc dać odpór atakowi.
- Wiem, że to jeszcze za wcześnie na analizę wydarzeń (co za akademicki, pompatyczny ton), lecz zlituj się nade mną i pozwól mi przynajmniej interesować się twoimi sprawami.
- Chciałaś powiedzieć: współczuć.
- Czy to coś złego?
- Nie jestem przygotowany na współczucie.
- Czy także na skorzystanie z propozycji wyjazdu do leśniczówki?
- Akurat nad tym mógłbym się zastanowić - powiadam bardziej w celu rozładowania przykłej atmosfery, jaką sam stworzyłem, odpowiadając automatycznie na jej pytania.
- Okres świąteczny byłby znakomitą okazją, aby wypocząć... porozmawiać.
- Rozumiem, że wybierasz się do stryja na święta.
- Masz coś przeciwko temu?
- Skądże. Mówiłaś, że często spędzałaś tam święta. Skojarzyłem.
- Mogłabym ci obiecać, że nie będę cię zanudzać rozmowami. Miałbyś innych, ciekawszych ode mnie, świeżych rozmówców.
- Jakoś trudno mi uwierzyć, abyś mogła zrezygnować z rozmów ze mną.
- Nie z rozmów, a z zanudzania rozmowami. To dwie różne sprawy.
- Już lepiej.
- Musisz być taki?
- Jaki?
- Musisz udawać? Przecież wiem, że myślisz inaczej i sam wiesz najlepiej, jak nierozsądne jest ~~nierozsądnym~~ byłoby zamykanie się przed światem.
- Wczoraj rozbiłem telefon komórkowy - zmieniam temat.

- Co ty mówisz? Jaki telefon?
- Mój telefon. Rzuciłem go o ścianę i rozdeptałem. Nie wyobrażasz sobie ile numerów i połączeń pozbawiłem życia, a jak wiesz, nie mam pamięci do numerów.
- Jeśli już chciałeś się odizolować, wystarczyło wyjąć baterię...co ci zawinił telefon?
- Czasami trzeba podejmować radykalne decyzje środki.
- Możliwe. Ale wracając do tematu, w leśniczówce miałbyś swój własny pokój, na poddaszu, z widokiem na las, na brzozowy zagajnik. Masz pojęcie, jak te drzewa uspokajają?
- Coś wiem o tym. Kusisz mnie. Jestem ciekaw, czy ta propozycja to kwestia przypadku, czy też dowiedziałaś się od kogoś o tej mojej słabości.
- Wyczytałam to z twoich tekstów.
- Prawda, byłaś najlepszą na roku eseistką i interpretatorką prozy Faulknera i Steinbecka, ale nie sądziłem, że i mnie czytasz tak dokładnie.
- Staram się czytać uważnie. No dobrze, pogadamy o tym wieczorem. Wpadnę do ciebie. Nie wstawiałeś jeszcze krat do drzwi?
- Zastanawiam się nad tym. Jeszcze tym razem pewnie zdążysz wejść bez przeszkód.
- I bez przeszkód chciałabym wyjść.
- Masz to jak w banku.
- Roztkliwia mnie twoja szczerość. Bywaj więc i czekaj niespokojnie.
- Czekam.

Odłożyłem słuchawkę i dopiero po tym fakcie uświadomiłem sobie, że zapomniałem powiedzieć jej, aby spodziewała się zastać u mnie nieporządek, z którym z pewnością sobie nie poradzę, więcej, nie zamierzam sobie poradzić.

Czeka mnie jeszcze jedna kawa i jakaś słodka, przyschnięta, wydobyta z chlebaka bułka z serem. Tym razem zamykam okno i odnajduję za nim ~~znamienną~~ dynamiczną zmianę aury. Mgła ustaje,

a jej miejsce zajmuje pierwszy tej zimy śnieg, a właściwie pierwsze śnieżynki wirujące w powietrzu bezładnie, szukające jakby miejsca, gdzie mogłyby spocząć i nie być zwiewane przez lada mocniejszy podmuch wiatru. W trakcie parzenia kawy przykrywam legowisko i przenoszę się do gabinetu. Gabinet mieści w sobie kozetkę, ławę, fotel i biurko, a otoczony jest półkami wypełnionymi książkami z „przerwami” na otwór okienny i drzwiowy. Na kozetce zwykłem przyjmować gości i nie jest to kozetka do wykonywania ćwiczeń z psychoanalizy (być może stanie się nią dzisiejszego wieczora - pomyślałem). Siedzi się na niej w pewnym od siebie oddaleniu, dla zachowania obopólnego bezpieczeństwa - mówimy o spotkaniu dwojga ludzi, nic więcej; obok równolegle ustawiona ława, wystarczająco niewygodna do spożywania posiłków, z wyjątkiem picia kawy lub napojów z zawartością alkoholu; rozmawia się tam, czasami pali papierosy, ale rzadko. Przy biurku się siada, ilekroć chce się coś napisać albo przeczytać. Fotel to najwygodniejszy mebel w całym mieszkaniu. Niejednokrotnie bywa on zastępczym łóżkiem, zwłaszcza wtedy, gdy nie ma się sił przejść do sypialni lub, zdarzyło się to parę razy, gdy wypadało użyczyć własnego łóża, samemu korzystając z fotela zwróconego frontem do kozetki, aby pokusić się o przespanie nocy. O półkach z książkami można napisać tyle, że przytłaczają i pomniejszają powierzchnię pomieszczenia, wymuszając przytulność i wyciszając je, jakby służyło do dokonywania nagrań. O książkach na półkach można z kolei powiedzieć tyle, że na tle ogólnego bezładu i nieporządku pozostają w wojskowym, zwartym szyku, chociaż wielokroć zmieniałem ~~ten~~ ~~szyk~~ ich położenie względem siebie, wymieniając poszczególne jego elementy, jakbym wciąż szukał poszukiwał dla swojego wojska właściwej reprezentacji do przemarszu na defiladzie.

Wszedłem więc do gabinetu ze słodką butką w ręce i konsumując wysuszoną konsystencję nieświeżego produktu podążyłem wzrokiem za pyszniącymi się złotymi i posrebrzanymi napisami grzbietami wolumenów, aby pod wpływem impulsu pochwycić wolną ręką księgę,

przejsć z nią do biurka i zagłębić w nią wzrok, tak jak zagłębiałem swoje kły w czerstwą butkę.

Ech, pożarłbym te księgi; pożerałem je dawniej, zaspokajając głód i teraz mam na nie ochotę, zwłaszcza teraz, kiedy tylko one mi zostały.

Zasiadłem więc przy biurku. Jem i czytam, czytam i piję kawę, piję kawę i zerkam w niewielkie okno, za którym trwa już prawdziwa już zamięć. Niewiele mi zostało poza książkami. W nich są moi przyjaciele - roztkliwiam się nad sobą - to efekt rozmowy z Niną. Im bardziej moja z nią rozmowa staje się oschła, cyniczna nawet, tym bardziej opadam z sił, wracając do swoich przyjaciół, z którymi taki jest problem, że nie ożywają do końca; jedynie wypełniają wyobraźnię. Różnica pomiędzy mną a Niną jest taka, że ona, choć niebezpiecznie młodsza ode mnie mieni się (jest nią w istocie) znakomicie zapowiadającym naukowcem, krytykiem literackim i recenzentem, podczas gdy ja, choć w literackiej branży tkwię po uszy od wielu lat, ja nie potrafię się wypowiadać na temat klasyki literackiej i obecnej „konkurencji” inaczej, niżli tylko emocjonalnie. Dlatego też rozmawiam o książkach personifikując ich byt, już sam w sobie doskonały, rozmawiam z nimi, czasami się kłócę, a czasem wręcz odrzucam precz, każąc im cierpieć w kacie katusze obojętności.

Czytam więc i niepostrzeżenie na biurku znajduje się flaszeczka szkockiej mieszanki whisky, z której toczę miodowo-ziółowy płyn do pękatej szklaneczki, a z niej bezpośrednio płuczę nim gardło. To prawda, że nieodpowiednia to pora na whisky, ale piję ją przecież z jednym z przyjaciół z półki, którym popsulem szyk wojska gotującego się do defilady. Ta szklaneczka, co parę akapitów opróżniana, przynosi mi ulgę, lecz tylko do pewnego momentu, do chwili, kiedy przypomniałem sobie o ojcu Jacku.

To z całą pewnością nie było dziełem przypadku, że akurat w chwili opróżniania szklaneczki pomyślałem o ojcu Jacku, przypominając sobie, że umawialiśmy się na spotkanie przy okazji wizyty w miasteczku, jaką złożył i czas jakiś jeszcze pozostanie, niemal do

świąt. Adwentowe sprawy go rzuciły w te strony i miał się udzielać w konfesjonale, jak i też przygotować bożonarodzeniową szopkę z żywymi zwierzętami, przynajmniej w fazie luźnego projektu. Cóż, brat Jacek jest franciszkaninem, a to do czegoś zobowiązuje. Nigdy nie przypuszczał, że sama myśl o nim sprokuruje pukanie do drzwi i, a po ich otwarciu, stanę oko w oko z zakonnikiem, jego rubaszną posturą, hemingwayowskim zarostem i uśmiechem tak szerokim, że ledwo się w ościeżach pomieścił. ~~się nie mieścił.~~

- Szczęść Boże! - wykrzykuje na powitanie i zamaszystym krokiem przestępuje próg mojego nieuprzątniętego domostwa. - Przyjmiesz mnie? - pyta zuchwale, wiedząc, że nie ma takich sił, aby go wyrzucić. Robimy niedźwiedzia, bo znamy się od lat, jeszcze wtedy, gdy strój zakonny mógł być dla niego zamgloną wizją, a dzisiaj ten habit powleczony jest tumanem śnieżynek, które otrzepuję zeń w trakcie powitania. Nawet nie wiem, jakimi słowy go powitałem, lecz zaciągam go do gabinetu, a jakże, na to ~~miejsee~~ naczelne miejsce na kozetce. Zaraz też robię kawę, dla niego delikatną, z mleczkiem. On tymczasem, jak to ma w zwyczaju, rozgląda się po pokoju, coś tam mówi do mnie, czego nie słyszę i koniecznie zagląda mi do papierzyk na biurku pozostawionych w bezładzie. On, jako jeden z bardzo niewielu, ma do tego prawo. Czas mija, mija, powracam z tacą; na tacy i kawa dla nas dwóch i wypełnione w dwóch trzecich kieliszki koniaku.

- Co piszesz? - pyta.

Siadamy obok siebie, lecz w pewnej odległości potrzebnej na swobodne korzystanie z ławy.

- Załamano mi się pisanie - odpowiadam szczerze. - Muszę znów iść na miasto, aby pobudzić apetyt na kolejne słowa.

- Jak zwykle Bóg będzie z tobą, więc martwić się nie musisz. Bóg widzi, jak cię urządzili.

- I ty, Brutusie, przeciwko mnie? Nie znoszę litości.

- Ja nie litość przynoszę, lecz otuchę.

- A ja pokrzepiam cię koniakiem, więc wypijmy - roześmiałem się - tylko bez toastów, proszę.

- Niech tak będzie. Wiedz, przyjacielu, że tylko dzięki tobie nie stałem się abstynentem.

Wypiliśmy więc.

- A cóż tam u ciebie, Jacku?

- Zaproсили mnie parafianie, a może to ja się wprosiłem na przedświąteczne rekolekcje, więc jestem i teraz przyszedłem do ciebie. A ty nic mi nie napisałeś. Musieli mi donieść obcy ludzie. Ładnie to tak?

- Zbierałem się, zbierałem i ... wiesz jak to jest ze mną. Nie na telefon to rozmowa, a gdybyś częściej korzystał z elektronicznej poczty, pewnie napisałbym parę słów więcej. Ale chyba nie jest na to czas. Jeszcze nie chcę. Chce teraz nacieszyć się tobą.

Nie wiem, skąd odezwała się we mnie taka spontaniczność. Pewnie whisky mieszane z koniakiem, kawy, telefon od Niny. Wszystko to powracało mnie do życia zbyt szybko, aż się tego bałem. A z bratem Jackiem, który dla mnie tylko Jackiem pozostawał, rozmawialiśmy ekumenicznie i po świecku, ciągnąc dysputy na tematy publicznie dostępne i te konfesyjne, zamknięte przed innymi, a czasami przed samym sobą (a dotyczyło to nas obu).

Dzisiejsza wizyta, z konieczności skrócona do minimum słów, w dodatku prędkich, pozostawiła nas niezaspokojonych rozmową. Brat Jacek zrezygnował z dotarcia do szczegółów „mojej sprawy”, pozwalając mi dojrzeć do opowieści; ja z kolei zarzuciłem dociekania powodów i planów rocznego wyjazdu zakonnika do Afryki, do którego był już niemal spakowany i z pewnym roztargnieniem oczekiwał stycznia. Na koniec dostałem zaproszenie na dzień poprzedzający Wigilię na plebanię. Dzień ten proboszcz wyznaczył z tego powodu, że po przedwigilijnej nocy ojciec Jacek powracał do klasztoru, aby spędzić tam święta, ostatnie święta przed wyjazdem.

Pożegnaliśmy się niespełnieni, bez satysfakcji, choć z nadzieją na skonsumowanie kolejnego spotkania w miłszej atmosferze.

II

Trzeba wyjść i popatrzeć na świat z perspektywy skopanego psa. Wychodzę więc w pełni dnia. Czternasta. Jasno jeszcze i śnieżnie. Dzień ten dzięki śniegowi zdaje się być jaśniejszy. Wiotkie, drobnutkie jak kasza manna płatki śniegu zasypują oczy, łaskoczą powieki, kiedy moja noga wstępuje na białe, szkliste chodniki przed frontowym wejściem do kamienicy. Sąsiadka z parteru macha do mnie dłońmi na powitanie. Że też zawsze rozpozna mnie po krokach. Słyszę niewyraźnie: "jak pan wróci, bierzemy się za odśnieżanie". Potwierdzam skinieniem głowy. Wychodzę na miasto. Stąkam powoli po zaśnieżonej zmarzlinie chodnika, idąc w kierunku głównego placu miasta. Mijam przechodniów z torbami w rękach, polujących na mięso, wędliny i świąteczne podarunki. Już czuć święta. W tej części miasta witryny sklepowe rozdygotane ledowymi pulsarami, żarzą się upstrzonymi światełkami choinek, skrzącą się tandetą zabawek, pluszowymi bałwankami, aniołkami i nakrapianymi złotą farbą bombkami. Mają zadanie przyciągać klientów blichtrzem pomady, pod którą zalega prostacki, nieociosany plastik. Idąc powoli, dla bezpieczeństwa przed upadkiem na śliskim zimowym podłożu, zerkam w stronę tych witryn, obserwując wyszukany tłok wewnątrz pomieszczeń handlowych. Drzwi otwierają się i zamykają i przez moment czuję powiew ciepłego powietrza dobywającego się z wnętrza zabudowanych kramów. Na zabawkowe cuda nie spoglądam długo. Przechodzę dalej, omijając kafejki i sklepy z promocyjnymi cenami odkurzaczy i telewizorów. Zaglądam do cukierni, wchodzę po schodkach i otwieram drzwi, lecz nie dostaję się do środka. Patrzę jedynie na półki i szerokie łóża oszklonych chłodni i stwierdziwszy, że słodkości starczy dla mnie, kiedy będę szedł tędy w drodze powrotnej, schodzę powoli na chodnik i znów staję się jednym z przechodniów. Idąc w kierunku centrum, zbaczam wąską uliczką, biegnącą łagodnym zakosem w dół. Wkraczam na targowisko z ponad setką straganów, gdzie handel odbywa się pod zadaszeniem, choć i tutaj wiatr czyni spustoszenie, podwiewając wystawioną dla klientów odzież i całe mnóstwo

rozmaitości mniej lub bardziej związanych ze świętami. Prawdę mówiąc na targowisku można kupić wszystko i tego dnia interes kwitnie, i trwał będzie do piątej po południu. Przedzierając się przez tłum, spostrzegam znajome twarze wśród sprzedających, jak i tych, którzy za wszelką cenę postanowili z premedytacją własnoręcznie ograbić swoje portfele. Stanowczo za mało mamy czasu na zagajenie rozmowy, ot, wypowiadamy sakramentalne powitania i pożegnania, czasami bezsensownie pytając się „jak tam leci” lub wyrażając ubolewanie nad faktem, że nie widzieliśmy się tak długo. Szybkie życzenia zawsze zdrowych i wesołych świąt kończą rozmowę, po czym uśmiech na ustach znika, a oczy biegną już w stronę kolejnej postaci, jaka wyłania się zza wiszących kożuchów i kurtek, postaci, która przypomina nam kogoś. Słyszę słowne zachęty do kupna właśnie tych towarów i widzę cierpliwość handlowców, którzy godzą się na przymierzanie kolejnych par butów, koszul, kurtek i spodni przez wybrednych klientów. Tu i ówdzie ustawiają się kolejki do psiego i kociego żarcia; gdzie indziej zmarznięte dłonie kupujących przebierają wśród jabłek i cebuli. Powodzeniem cieszą się przymulone karpie i surowy morski śledź. W innym miejscu sprawdza się sprawność światełek na choinkę i harmonijny układ gałązek na żywym drzewku świerka. Gdzieś obok głównego szlaku handlu rozsiadają się dostarczyciele jemioli, siana i wymyślnych stroików. Ktoś przystaje popatrzeć tylko; inny po parominutowych targach odchodzi uszczęśliwiony z zakupem pod pachą.

Mnie interesowały śledzie i słodyczne. Zaopatrzony, wyszedłem z targowiska, niosąc w jednej torbie starannie oddzielone od siebie zakupy i wkroczyłem na ulicę wiodącą bezpośrednio do głównego placu miasta.

Na tym placu, w feerii lampionów, jakimi udekorowano drzewa wokół placu i frontony budynków publicznych, trwały przygotowania do wigilii w mieście przeznaczonych dla najuboższych. Niebawem miała się rozpocząć msza. Przed pomnikiem bojownika o niepodległość wystawiono kuchnię polową, serwującą biały barszcz z kiełbasianą

wkładką, co miało ukoić ból i zaspokoić na tę chwilę głoś potrzebujących. Modlitwa miała natomiast sprawić rychłą poprawę stanu ducha u tych, którzy najbardziej potrzebują poratowania swoich żołądków i ocieplenia mieszkań, tych, którym za długi odłączono ogrzewanie. Modlono się za bezrobotnych, choć było wiadomo, że takie modlitwy to czynność przypominająca zaklinanie węża. Powoli na placu gęstniał tłum. Pod zadaszoną sceną kręcili się już pierwsi oficjele i specjaliści od nagłośnienia. Czekano jeszcze na tych najważniejszych, na burmistrza, przewodniczącego rady i kapłana. ~~Zamiast nich~~ Zanim przybyli rozpętała się prawdziwa śnieżna zamieć, aż przymknięto kotły z zupą. Rychło wystartował telebim z kolędą „Bóg się rodzi”. Śpiewał chór dzieciaków z podstawówki. Potem jeszcze jedna kolęda, i jeszcze jedna, aż wreszcie przed prosceniem ukazał się biały nissan, z którego wysiedli oczekiwani goście. Po kilku minutach gospodarz miasta przemówił. A mówił składnie, dziękując mieszkańcom za przybycie, za docenienie tego faktu, że wigilijna msza, która nastąpi za chwilę, poświęcona będzie najbiedniejszym. Burmistrz przemawiał w kożuchu wielbłądzim. Zabierający po nim głos kapłan poinformował, że dzisiejsza taca przeznaczona będzie na paczki dla najuboższych i ma nadzieję, że się zapełni, bo wprowadzie święta tuż, tuż, to jednak czas jeszcze na zakup najpotrzebniejszych darów serca na najbardziej potrzebujących. Tłum gęstniał jak śnieżny opad.

Poczułem się źle. Na tyle źle, że nie dostyszałem, co miał do powiedzenia przewodniczący miejskiej rady. Wydawało mi się (było to bezpośrednio przed utratą przytomności), że przewodniczący rady patrzy w moją stronę.

Ktoś z tłumu mnie wyniósł. Zastrzyk. Kategoryczny brak pozwolenia na odwóz do szpitala - tyle pamiętałem. Po dożylniej iniekcji poczułem się na tyle dobrze, że postanowiłem wrócić do domu o własnych siłach. Jeszcze raz kategorycznie sprzeciwiłem się zabraniu mnie do szpitala, a jak wiadomo, wola pacjenta to rzecz święta. Byłem pod opieką i choć trudno w to uwierzyć, ale moja

opiekunką była sąsiadka z parteru, która umawiała się ze mną na odśnieżanie.

Krząta się teraz przy mnie. Wzdycha. Bada puls i przez cały czas rozmawia ze mną, milczącym, wyciągniętym na łóżku, w szlafroku, którego nie lubię i nie wiem, jak to się stało, że znalazł się na mnie. Taki ze mnie chojrak, a tymczasem powinienem odpocząć - mówi. Ona zna moją sprawę, bo cała kamienica o tym gada. - To pewnie z tamtego powodu i z przemęczenia zemdlałem - mówi. Żeby sobie wybił z głowy raz na zawsze sprzątanie klatki schodowej. A z tym odśnieżaniem to ona przeprasza. Ładnie by wyglądała, gdybym, na ten przykład, wyłożył się podczas robienia łopata. I niech się nie martwię, bo ona jest już gotowa do świąt i może ze mną zostać tak długo, ile trzeba. Takie omdlenie w moim wieku to niepokojący sygnał, ona wie o tym doskonale. Teraz mam odpoczywać i żadnej kawy. Wie, że piję zbyt dużo kawy. Niech się nie pytam, skąd wie. Ale ja nie zamierzałem nawet pytać, bo jej monolog, pomimo tego, że puszczany mimo uszu, uniemożliwia mi zabranie głosu. Puls mam dobry i na twarz powróciły mi „kolory”. Jest więc lepiej, ale ona zostanie tak długo, aż przyjdzie Nina. Skąd ona wie o Ninie? Pewnie musiałem coś powiedzieć. Jak umiejscowić pod względem medycznym tę nagłą utratę pamięci? - zastanawiam się. - Czy to nie dziwne, że niemal w tym samym czasie, w tym samym dniu stałem się przedmiotem opieki dwu kobiet?

- Ale ładny nieporządek pan ma - słyszę wyraźnie jej głos, który nie jest wyrzutem, lecz raczej politowaniem.

Przez cały ten czas sprząta mieszkanie - kuchnię, pokój i sypialnię. Do gabinetu nawet nie zagląda, tak jakby brała pod uwagę to, że gabinet jest dla mnie miejscem bardziej intymnym niż sypialnia. Słyszę puszczaną wodę w kuchni i typowe dźwięki towarzyszące myciu naczyń. Szybko wraca do mnie. Lepiej? Jak się czuję? Ale mam mówić prawdę. Coraz lepiej się czuję, lecz walczę z sennością. Mówię jej o tym. Pytam o godzinę. Dopiero piąta. Szybko analizuję, że Nina nie pojawi się wcześniej, niż o ósmej. Do tego czasu, ho, ho, będę zdrów jak ryba. Oddycham spokojnie, z kocem podciągniętym

pod samą szyję. Moja głowa spoczywająca na poduszce jest w najlepszej pozycji do odpoczynku, nie odczuwam bólu kręgów szyjnych i pewnie z tego powodu, zrelaksowany, być może będący jeszcze pod wpływem zastrzyku, łagodnie odchodzę w sen. Nie zdołałem jednak uchwycić tego momentu przejścia. Czuję jedynie, jak moje ciało staje się lekkie i bezwładne. Śnię.

- Niestety wskutek koniecznych działań oszczędnościowych, urząd postanowił o zawieszeniu dotacji do prowadzonego przez pana projektu na czas nieokreślony. Pan rozumie, że podmiotów ubiegających się finansowe wsparcie jest zawsze więcej, aniżeli środków, jakie mamy do dyspozycji. Trzeba było wybierać i to, co niezmiernie istotne, pomiędzy samymi dobrze zapowiadającymi się projektami. Na pocieszenie powiem panu, że pański projekt nie jest jedyny, który przepadł... tym razem przepadł. Czy do końca? Na tę chwilę trudno powiedzieć, a o ewentualnych zmianach decyzji, zostanie pan poinformowany.

Patrzyłem uważnie na te trzy sylwetki siedzące naprzeciwko mnie, na podwyższeniu, za biurkiem. Środkowa, należąca do kobiety, referującej decyzję rady, skupiona była wzrokiem na czytany tekście. Tembr jej głosu nie zdradzał jakichkolwiek uczuć. Sąsiednie sylwetki, należące tym razem do mężczyzn nie wyrażały niczego innego poza zniecierpliwieniem. Kiedy kobieta skończyła czytać, głowy mężczyzn uniosły się, a ich wzrok z dawał się potwierdzać konieczną decyzję, jaka zapadła w mojej sprawie. Byłem przekonany, że tym wzrokiem starano się wy badać mój stosunek do przedstawionych mi na piśmie i odczytanych racji. Siedziałem w milczeniu, nie chcąc ustosunkować się do decyzji, jaką usłyszałem i na propozycję zabrania głosu odpowiedziałem kręcąc odmownie głową.

- W takim razie dziękujemy panu - przemówiła referująca - i zapewniamy, że o każdej zmianie stanu rzeczy zostanie pan pisemnie poinformowany - powtórzyła.

Pożegnawszy tych trojga podając im swoją ciepłą dłoń, wyszedłem z gabinetu.

- Wie pan doskonale, że nasze wydawnictwo działa korzystając z pomocy finansowej darczyńców z fundacji i naszych przemysłowych sponsorów. W obecnej sytuacji nie zdołaliśmy pozyskać dodatkowych środków na tę publikację, choć mieliśmy względem niej zaawansowane plany. Jest nam przykro z tego powodu, tym bardziej, że rekomendacje, jaki pan uzyskał, wróżyły sukces pana książki, a w dodatku ubolewamy nad tym, że musimy przekazać odpowiedź odmowną literatowi, który, bądź co bądź, wywodzi się z naszego, miejskiego środowiska. W obecnej sytuacji, nie znajdując wystarczającego wsparcia ze strony naszych przyjaciół, zmuszeni jesteśmy wstrzymać pańską publikację, aż do chwili, kiedy uzyskamy środki, przynajmniej takie, które zabezpieczą koszty wydruku.

- Mariusz Mikuć - 42 głosy; Adam Karski - głosów 27; głosów nieważnych oddano 14.

Oklaski. Mikuć wstaje, obraca się na pięcie, kłania się tym z tyłu, zerka na mnie i przeciska się pomiędzy wstającymi a oparciami krzesel w rzędzie poprzedzającym ten, w którym obaj zasiedliśmy.

- Tym samym, prezesem regionalnego stowarzyszenia kulturalnego został pan Mariusz Mikuć.

Oklaski potężnieją. Mikuć podchodzi do mnie. Wymieniamy uściski dłoni. Wypowiadam szeptem kilka słów do zwycięskiego rywala i trzymając go mocno, unoszę jego rękę. Potem wyciągam go na zewnątrz, doprowadzam do przejścia między rzędami. Dalej podąża sam, kierując się do mównicy, wchodzi za nią i wykonuje gest zmuszający stojących do zajęcia miejsca na kinowych fotelach. Siadam i ja, odtwarzając z pamięci zakończenie swojego wystąpienia.

Słucham Mikucia.

Przed nowym zarządem stowarzyszenia stoją teraz niezmiernie trudne zadania polegające na odwróceniu negatywnych tendencji, jakich wyrazem był znaczący spadek autorytetu twórców kultury.

Padają głosy, że poprzedni zarząd niedostatecznie zabiegał u władz samorządowych o środki przeznaczane na kulturę. Młodzi artyści, muzycy i pisarze mieli ogromne trudności w dostępie ich prac do odbiorców. Zapewniam Państwa - że strategią nowo wybranego zarządu będzie ściślejsze powiązanie twórczości młodych z mecenatem, za jaki uważa środowiska biznesowe w naszym województwie."

W dalszej części swego wystąpienia Mikuć przedstawia w miarę szczegółowy plan powiązania wyżej wymienionych środowisk. Odnajduję w nim własne słowa, które wypowiadałem podczas kampanii przedwyborczej. Mikuć nie zmienił nawet kolejności punktów. Wypiłem duszkiem kawę i wyszedłem z sali.

- Proszę mnie zrozumieć. Byłabym przedłużyła z panem umowę, ale mam kłopoty z zapewnieniem pełnego etatu naszym nauczycielom. Dlatego też z tą maturalną klasą nie może pan mieć w drugim semestrze dodatkowych zajęć. Ogromnie mi przykro z tego powodu, ale niewiele mogę panu pomóc.

- Proszę się nie martwić. To tylko dwie godziny zajęć i przecież, jak to już mówiłem, traktowałem je jako hobby, poważne wprawdzie, lecz jednak coś, czym uzupełniałem swoje zainteresowania, z korzyścią dla obu stron, mam nadzieję.

- O tak, będzie nam brakować pana doświadczenia.

- Ależ się pan rozgadał - poczułem jej dłoń na swoim czole - ma pan w zwyczaju mówić przez sen?

- Pierwsze słyszę - otworzyłem oczy i powoli zmieniłem pozycję na łóżku na siedzącą. - Nie podejrzewałem siebie o to, że mówię przez sen. Cóż takiego mówiłem?

- Nie chciałem pana urazić, ale skoro chce pan wiedzieć, to mówił pan niewyraźnie i do tego bez sensu. Ledwie co dziesiąte słowo zrozumiałam.

- Może to i lepiej, bo nie pamiętam snu.

- Jak się pan czuje?

- Świetnie. Pamiętam, że upadłem. Potem karetka i pani się mną zajęła, czy tak?
- Mniej więcej tak było - uśmiechnęła się do mnie. - Z jednego tylko muszę się panu zwierzyć...
- Proszę mówić śmiało. Jestem, bądź co bądź, pani dłużnikiem.
- Ech, niech pan nie żartuje. No dobrze, to już powiem. Kiedy zobaczyłam pana w oknie, idącego na miasto w tę zamieć, postanowiłam pójść za panem.
- Śledziła mnie pani?
- Można tak powiedzieć. Niech pan się nie pyta, dlaczego. Poszłam za panem i już, ale nie od razu pana znalazłam, bo chyba zboczył pan na targowisko. W końcu domyśliłam się, że znajdzie się pan na placu, tam gdzie odbywać się będzie to widowisko.
- Widowisko? - roześmiałem się.
- Mniejsza o słowa. Miałam szczęście, bo stałam akurat za panem, kiedy osunął się pan na ziemię, znaczy się na śnieg. Niestety, nie zdążyłam zapobiec upadkowi, lecz, na szczęście, nie uderzył pan głową o bruk. Pana głowa zatrzymała się na moich kolanach. Próbowałam pana ocucić, a ktoś ze stojących w pobliżu wezwał pogotowie. Nie czekaliśmy długo, bo karetka znajdowała się już na placu.
- No cóż - westchnąłem - dziękuję pani.
- Nie ma o czym mówić. Teraz proponowałabym, aby się pan umył i ubrał w coś, co nie jest szlafrokiem. Za pół godziny będzie pan miał gościa.
- Wie pani o tym?
- Kiedy chcieli zabrać pana do szpitala, zaprotestował pan, mówiąc, że oczekuje gościa, swoją studentkę Ninę, czy jak jej tam.
- No tak, to wszystko wyjaśnia. Niestety nie przypominam sobie tego faktu.
- Jak snu - skojarzyła poprawnie.
- Jak snu.

III.

Zdarzyło mi się to po raz pierwszy od niepamiętnych lat. Możesz to sobie wyobrazić? Wysiadam z pociągu z walizką w ręku (tylko lokomotywa jest inna, spalinowa) i przed dworcem czeka na mnie jednokonny zaprzęg. Chłopak podbiega do mnie, chwyta w ręce mój toboł i zaprasza do sań. Wskakuję na tylne siedzenie, on wspina się na kozła, zacina batem konia i wyruszamy zaśnieżoną drogą w stronę lasu. Obok, na siedzeniu, czekał na mnie pled. Przykrywam nim nogi i walizkę. Spod końskich kopyt rozbryzguje się suchy, złodowaciały śnieg. Wjeżdżając do lasu, pomiędzy młode zagajniki świerków, płozowy wolant zwalnia, koń kroczy szybkim stępem a chłopak zapala papierosa.

- Zdamy przed zmrokiem, zapali pan?

- Nawet przyjemniej będzie, gdy drogę do leśniczówki pokonamy powoli - mówię. - Nie teraz, dodaje.

Chłopak zapala, zdejmując wcześniej rękawiczki - skórkowe, ciemnobrązowe.

- Teraz, Kaśka, tak jak lubisz, po swojemu - zwraca się do szpakowatej klaczy, która potrząsa łbem i rzeczywiście zaczyna stąpać własnym rytmem i wydłużając krok płynnie, jakby bez wysiłku ciągnie za sobą sanie, podążając po własnych śladach, jakie pozostawiła jadąc na stację.

- Jesteś bratem Niny? - pytam.

- Stryjecznym. Mówiła panu o mnie? Piotr - przedstawia się patrząc przed siebie i zaciągając papierosowym dymem.

- A mówiła. Mówiła, że świetnie się znasz na koniach i przewidywała, że jeśli wyjedziesz po mnie to saniami.

- Ja, panie Karski, mogę tak? - waha się jakby zawołanie po nazwisku wiązało się z pewną dozą skrepowania. - parę miesięcy te sanie remontowałem. Kupiliśmy je we wsi. Stare, z widocznymi pęknięciami, z płozami ze zdartymi listwami stali. Trzeba to było wszystko naprawić, wymienić, co się da. Znam się na tym.

- Słyszałem, że w technikum leśniczym się uczysz? Ostatni rok, prawda?

- Prawda. Z ojcem zostanę, nie to co Nina. Ona już u nas rzadkim jest gościem.

- Każdy wedle swoich umiejętności i zainteresowań życie powinien prowadzić - oświadczam pouczającym tonem. - Twoja siostra dobrze się zapowiada. Zdolna, pracowita, ambitna.

- I mocna w gębie - dodaje.

- W życiu trzeba walczyć o swoje. Gęba czasami się przydaje.

- Wiem, ojciec nas uczył tej walki, chociaż mnie do ludzi aż tak bardzo nie ciągnie. Co innego las, drzewa, zwierzęta i majsterkowanie.

- Leśniczy ma jednak pod sobą ludzi.

- To prawda. Wycinki, sadzenie lasu, pielęgnacja drzewostanu i zwierząt - do tego są potrzebni ludzie. Albo, dajmy na to pobieranie żywicy.

- To jeszcze to się robi? Myślałem, że chemia załatwiła wszystko.

- Jest taki stary rewir leśny, gdzie jeszcze żywicę się zbiera. Najwięcej pracy z wiatrolomami i dzikami, które wchodzą w szkodę.

- Chciałbyś tu zostać? Nie marzy ci się jakiś inny las?

- Tutaj sporo pracy. Trochę też ziemi mamy. Trzeba uprawiać, bo inaczej zjałowuje, a ojciec i wcześniej dziadek, sami wydarli parę hektarów lasowi. Po wielkim pożarze. Nie pamiętam tego.

Rozmowa jaką toczyliśmy przypominała pozytywistyczne monologi i oracje dydaktycznych powieści Orzeszkowej oraz zasłyszane dawniej dialogi licealistów, które sam prowokowałem, gdym, ufając słowom wybujałej młodzieńczości, objeżdżał kraj wzdłuż i wszerz, notując, a nierzadko, nagrywając konwersacje ambitnych i zbuntowanych młodych. Piotr z jego zapatrywaniem na świat dorosłości, w który wkraczał, zdawał mi się być jednym z ostatnich, których wydała ziemia nie dla nowoczesności, lękającej się szczerych wyznań, lecz dla pracy, w jakiej widzi się sens. Zastanawiałem się nad tym, jak bardzo nietypowa lub odwrotnie, jak pospolita jest taka postawa młodych i jak wielki na nią wpływ

miął ten człowiek, do którego w umówioną gościnę jechałem. Jednocześnie do cna przesiąknięty zwyczajem sporządzania notatek, a z braku możliwości ich prowadzenia, dokładnym archiwizowaniem w pamięci słuchanego tekstu, gromadziłem w mózgu poszczególne słowa i słów powiązania, jakbym zakładał, że będą mi one potrzebne, gdy tylko opatrznosc podsunie mi pretekst do wykreowania opowieści, w której mógłbym wykorzystać kontekst zasłyszanych słów. Myślę sobie, że w określonych warunkach obiektywnie niedogodnym jest bycie pisarzem, który miast cieszyć się z innymi, przeżywać, odnosić sukcesy lub cierpieć, uruchamia tę część swego mózgu, która odpowiada za tworzenie własnych słów i opowieści. Słyszysz sobie pewną historię, opowiadaną tobie, nie pisarzowi, i już ją przetrawiasz po swojemu, dokładasz anegdotę, zmieniasz kontekst, rytm, stylizujesz, wprowadzasz nowego narratora, stajesz ponad opowieścią i, co najsmutniejsze, stajesz się złodziejem myśli i słów, które wykradłeś rozmówcy.

Krok po kroku, a raczej stęp po stępie przybliżaliśmy się do leśniczówki, oddając się przyjemności korzystania z dobrodziejstw uśpionej snem zimowym natury, lasu, który narastał i dziczał za każdym zakosem drogi, wspinał się i potężniał wysokimi ramionami sosen i tu i ówdzie rozsianymi masztami dębów, w pojedynkę chełpiących się swoją starczą potęgą. Już sama podróż odbywana nietypowo, uspakajała mnie i odpędzała niepokój, jaki nagromadził się ostatnio, burząc sen i budząc myśli, których nie chciałem nigdy doświadczać. Omdlenie jakiemu uległem w sercu miasta, omdlenie wymazujące z pamięci kilka chwil życia, odchodziło precz. Doprowadzony zostałem do stanu, w którym podświadomie zapominałem o swoich upadkach i powoli zaczynałem odzyskiwać nadzieję.

Piotr pokazywał mi zajęcze i sarnie tropy, jakich nie napotkał jadąc w stronę dworca i głowę bym dał za to, że jego uszy rozpoznawały odległe odgłosy wydawane przez stado saren spieszących do paśnika. Co i rusz uzyskiwałem informacje o najlepszych miejscach na grzybobranie, o pobliskich polanach wypełnionych jagodowym

poszyciem, o miejscach, w których buszują dziki i o krzyżu, który wetknięty w kopczyk ubitej i okrytej darnią ziemi, nosi sobą nieodkrytą tajemnicę.

I znów, kiedy o krzyżu była mowa, nieszczęsna fantazja poruszyła moją wyobraźnię. Gdyby nie bliskość zmroku, gdyby nie grudniowa zmarzlina i śnieg sięgający w tym miejscu kolan, pewnie kazałbym chłopcu stanąć i spenetrowałbym to miejsce zaznaczone krzyżem. Chciałbym się przekonać, czy jakiej tablicy, kamienia, jakiegoś znaku nie umieszczono, aby uchylić rąbek tajemnicy. Nie może tak być, aby bez dania powodu ludzka ręka pozostawiła po sobie ów ślad znaczący.

- Nic ci o tym krzyżu nie wiadomo? - zapytałem, gdyśmy przemierzali paręset metrów, skręcając na rozwidleniu dróg w alejkę, która miała nas już doprowadzić bezpośrednio do leśniczówki.

- Różnie mówią, ale to najpewniej bajki - odparł beznamiętnie Piotr, jakby moje zapytanie wprawiło go w zakłopotanie.

- Coś jednak wiesz o tym krzyżu - kontynuowałem próbę dowiedzenia się czegokolwiek.

- Jedni mówią, że to krzyż samobójczyni, zniewolonej przez panicza i oddanej na pośmiechowisko ubogiej chłopki; inni, że to miejsce śmierci kłusownika, który wpadł we własne sidła w zamieć śnieżną, przez co nie zdołał wezwać pomocy na czas i zginął z ran i zimna. Jeszcze inni mówią o rannym żołnierzu-dezerterze z pierwszej wojny światowej, którego dopadły wilki, gdy siły tracił, umykając pościgowi.

- Ciekawe. I nikt nie dociekał prawdy?

- Nie żyją już ludzie, którzy mogliby znać prawdę. Ojciec mówił mi, że chyba tylko jego dziadek mógłby ją znać. To bardzo stary krzyż.

- Z pewnością stary.

- Pan pewnie sobie pomyślał, że nasza pamięć tutaj nieczuła, że jeśli krzyż, to koniecznie trzeba poznać przyczynę. W lesie nie tylko ludzie giną, nie tylko pamięć o człowieku przepada. Gina drzewa,

zwierzęta, wysychają źródła i przepadają cietrzewie, które toczyły w tych lasach przed wojną.

- Ja tylko z ciekawości tak... - usprawiedliwiłem się, choć już odzywała się we mnie druga strona osobowości - ta poddana kreatywnej wyobraźni. Ale lepiej już jedźmy, myślałem, pozwólmy tej i innych niezbadanym historiom trwać. Niech inni zdobędą się na odwagę ich odkrywania.

Znużony byłem, nie podróżą, bo ta wiodła przez krainę dawno nie odwiedzaną przeze mnie lub z rzadka. Prowadziłem dotąd stadne życie wśród ludzi i było mi wśród nich raz gorzej, raz lepiej. Rozmawiałem z nimi językiem prostym, szczerym i uczciwym; czasami prowadziłem dyskusje, debaty; innym razem próbowałem sił w perswazji, albo też grałem rolę szamana nauczającego innych tego, co zdołałem z życia pojąć. Im głębiej dostawałem się w przeszłość własnych myśli, tym bardziej poznawałem ich nikczemny bezład, naiwną wartość i ulotność. Bezpowrotnie minął czas, w którym próbowałem przekonywać i wierzyć w siłę słów jakimi się posługiwałem, choć nadal wierzę w słowo, aczkolwiek kieruję je teraz do samego siebie, albo czytam słowa innych, nie dbając o to, dla kogo są przeznaczone. No cóż, jestem w wieku, który skłania do refleksji. To trywialne i pewnie dotyka każdego z nas w czasie przesytu życiem, kiedy się wie, że niewiele dróg zostało do przejścia sprawnymi nogami, a szybkie tempo marszu zastąpione zostało niezgrabnym krokiem, coraz wolniejszym, wymagającym odpoczynku po wspięciu się na byle wzniesienie. Banalna jest ta świadomość przemijania, lecz istnieje rzeczywiście tak jak istnieje srebrny, szampowy i oklepny blask księżyca. Możesz nie wiadomo jakimi słowami opisać tę luminację, zaprząć nocnego gościa do powozu ciągnionego przez metafory, a srebrny księżyc pozostanie w pełni, dopóki nie zgaśnie zasypyany spopielatą chmurą, albo zniknie za horyzontem poranka. Lecz inny głos podpowiada mi, że trywialność księżycowego blasku należy wzbogacić własnym spojrzeniem i zdać z niego relację, uruchamiając semantyczne desygnaty tkwiące w każdym słowie, a słowo posiada znaczenie i w

określonym kontekście poddawane jest subiektywnemu opisowi za pomocą konglomeratu innych znaczeń. Nie o samo światło księżyca chodzi, lecz o to, czy jest sens zapuszczać się w metaforę słów, czy nie gubi się przy okazji znaczenia słowa danemu temu, kto odczuwa to, co obiektywnie dane jest każdemu z nas. Ważna jest również szczerść wypowiedzi, a ta korzysta z najprostszych, nierzadko prymitywnych środków.

Dość o tym. Narasta pomrok. Słońce dopala się gdzieś hen za zastoną lasu, ledwie żarzy się, nie dając ciepła i zmuszony jestem naciągnąć na siebie szczelniej pled. Im bardziej zbliżam się do kresu podróży, tym silniej odczuwam niepokój, choć wiem, że przyjeżdżając na miejsce nie będę sam, a chłopak, roztropny i odnoszący się do mnie przyjaźnie, rozładuje tę nową dla mnie sytuację, w której się znajdę. To trochę dziwne, że w moim wieku mogę jeszcze odczuwać zaniepokojenie z powodu uczestnictwa w czymś nowym - spotkaniem z nieznanymi mi ludźmi, z miejscem, w którym dane mi będzie przeżyć ułamek swojego życia. Tułając się po świecie, powinienem był dorosnąć do zmian, powinienem był być raczej przewodnikiem, aniżeli oczekiwać na poprowadzenie mnie za rękę przez osobistego „cicerone”. Dzisiaj ten chłopak, a jutro...? Kto to wie? Może ona czeka tam na mnie i liczy minuty dzielące nas od spotkania. Czemu nie zdecydowałem się na wspólną z nią podróż? Ach tak, ona jeszcze miała odwiedzić grób ojca, bo matka zbyt słaba tej zimy i nic dobrego nie wyniknęłoby z jej peregrynacji na cmentarz. No cóż, nadejdzie taki dzień, kiedy i ja nie będę w stanie przemieszczać się samodzielnie, kiedy podróż do moich świętych miejsc stanie się ponad moje siły. Ostatnie omdlenie jakiego doświadczyłem może być przecież dla mojego organizmu symptomem zmian na gorsze. Medycyna zna wszakże rozliczne przypadki, w których kondycja psychiczna oddziałuje na konstrukcję somatyczną i w ogóle jakoś funkcjonowania człowieka. Czyżbym znajdował się już w takim stanie?

Podczas wizyty u mnie Nina podarowała mi telefon. - „Nie będę dzwonić bez potrzeby, nie martw się. Chciałam tylko przykazać ci,

że jeśli będzie coś nie tak z tobą, kiedy poczujesz się źle, masz obowiązek zadzwonić do mnie, rozumiesz?" - tak powiedziała i dotrzymała obietnicy. Nie dzwoniła i nie powiadamia mnie esemesowym tekstem (i tak miałbym trudność z jego odczytaniem). Szanuje moją niezależność i niechęć do rozmów. Ciekawe, że to ja skorzystałem z dobrodziejstwa pozostawiania „w zasięgu” i w pociągu zadzwoniłem do sąsiadki, na której kolana osunąłem się podczas omdlenia, powiadamiając ją o tym, że jestem w podróży, nic mi nie dolega i niczego nie potrzebuję. Złożyłem jej życzenia świąteczne, odebrałem jej i, tak mi się wydaje, była wzruszona, bo nigdy wcześniej nie składałem jej życzeń przez telefon, ba, prawdopodobnie nigdy z nią przez telefon nie rozmawiałem. Robię się sentymentalny. Straszne.

Im bliżej celu, tym bardziej jestem zaintrygowany sposobem, w jaki zostanę powitany. Odzywa się nieskromność moja, podłe własne ego, z jakim miałem dawniej do czynienia. Po prostu przyjadę, przywitam się, wymienimy grzeczności, będzie trochę wzruszenia i spróbuję zajrzeć w oczy tej małej i jestem ciekaw, czy coś w nich zobaczę innego, niż wtedy u mnie w domu. Nakarmią mnie i napoją i, jak to bywa w takich sytuacjach, będziemy rozmawiać o wszystkim, jak to się mówi: o życiu, o świętach i pracy (o tym delikatnie, bo pewnie Nina przygotowała stryja na okoliczność moich kłopotów). Potem wskażą mi mój pokój. Zapewne Nina mnie do niego zaprowadzi i otwierając drzwi jej serce zabije mocniej, gdy będzie czekać na moją reakcję. Ale mnie spodoba się ten pokój i spodoba mi się jej stryj, stryjenka i matka Niny, która pomimo dolegliwości wątrobowych tę wczesną kolację spędzi ze wszystkimi i nawet zabawiać mnie będzie rozmową, a jej wzrok będzie kursował pomiędzy mną a jej córką. Matka Niny, ufająca córce, z której zawsze była i jest dumna, będzie miała w swoich oczach niepokój, jaki towarzyszy wszystkim matkom świata. Kiedy powiem sakramentalne: „dziękuję ci, pokój jest taki, jak opowiadałaś”; kiedy dodam: „masz wspaniałą rodzinę”, rzadko wzruszająca się publicznie Nina uśmiechnie się do mnie i żegnając się ze mną,

życząc dobrej nocy, zbiegnie na dół, aby odebrać z kolei relację najbliższych w stosunku do mojej osoby.
Dopiero wtedy zasnę.

IV

A cóż to ona wykombinowała? Jej stryj po lekkiej kolacji przychodzi do mnie na górę. Rozmawiamy. Dowiaduję się, że ten pokój będę miał do swojej dyspozycji przez całą zimę, a i później przyjeżdżać tutaj mogę bez krępacji. Leśne powietrze dobrze zrobi mojemu sercu. A czy ja w ogóle choruję na serce? Lekkie omdlenie, po którym straciłem na krótko pamięć, to jeszcze nie znak, że serce mam chore.

- Potrzebuje pan ciszy i spokoju - stwierdza - a nam pana obecność w niczym zagrażać nie będzie - przekonuje.

Pomyślałem sobie, że obiektywnie rzecz ujmując, ten człowiek ma rację, ma słuszność Nina, która zapewne przekonała stryja do swoich racji, pomyślałem, że nic lepszego nie mogłoby mnie spotkać, bo też w taki sposób wyobrażałem sobie spędzanie miesięcy, tygodni i dni, jakie mi pozostały: ja - rezydent, zdany na łaskę swoich dobroczyńców, którzy otaczają mnie opieką, na którą na pewno nie zasłużyłem, bo będąc już do niczego, nie jestem spłacić długów, jakie zaciągnąłem.

Myślę egoistycznie, składając poduszkę na pół - lepiej trawię sen mając „wysoko” pod głową - myślę egoistycznie, bo sprawia mi przyjemność korzystanie z czyjejs łaski, ale jestem w tym wieku, w którym nie należy ukrywać swoich słabości, lecz po takim myśleniu, które zabiera sen, następuje otrzeźwienie, pojawia się wstyd, jakaś zrozumiała pretensja do siebie, że zacznam żyć na koszt innych, co sprawia, że patrzy się na siebie jak na żebraka udającego swoje kalectwo, oszusta gotowego zrobić każde świństwo, aby zaspokoić nieprzebrane pokłady własnego egotyzmu i samouwiebienia.

Następnego dnia, w wigilię wigilii Nina przysiada się do postnego śniadania, przysiada się do mnie, wyspanego jak nigdy wcześniej (to

przez to leśne powietrze) i mówi, że w nowym roku się mną zajmie, i żebym przypadkiem się jej nie sprzeciwił; dlatego mówi mi to teraz, abym miał czas oswoić się z myślą, że będę musiał dla swojego dobra podporządkować się jej, kobiecie młodszej ode mnie o dwadzieścia pięć lat. Oczywiście nie zdradza mi swoich planów; każe czekać, a ja zaczynam domyślać się, że chodzi jej o to, abym mógł w spokoju pisać, a może też jej pomoc ma ścisły związek z moją powieścią odrzucona przez wydawnictwo. Nina, jak mi się wydaje, ma coraz lepsze notowania na uczelni i cieszy się sympatią i uznaniem grupy, z którą prowadzi zajęcia. Myślę, że ta popularność, jaką zdobyła, jest całkowicie zasłużona.

Wracam więc „do siebie”, na poddasze i zaczynam pisać, chociaż jednocześnie zadręczają mnie wyrzuty sumienia, jakie zwykle towarzyszą rezydentom, którym pozostawia się nazbyt wiele swobody i jednocześnie otacza się opieką niewspółmierną do oczekiwań.

Pisanie wcale mi nie idzie. Zatrzymałem się w zaspach. Poważnie. Skończyłem na tym, że śnieżna zamieć uniemożliwia wyjazd ze wsi pani X, jednej z głównych bohaterek skomponowanego przeze mnie tekstu. W pewnym sensie wymyślone przeze mnie okoliczności, w jakich znajduje się pani X (z dzieckiem) przypominają moją obecną sytuację. Wspólnym współczynnikiem jest sroga i śnieżna zima (patrzę w okno, sypie śnieg, miatki, suchy, temperatura w okolicach minus siedmiu stopni i spada). Zdażyłem się przyzwyczaić do tego, że moja wyobraźnia nieświadomie prokuruje pewne zdarzenia, które zachodzą potem w rzeczywistości. To niebezpieczne. Zastanawiam się nad tym, w jaki sposób uwolnić moją bohaterkę z zasy, to znaczy jak pokierować akcją, aby mogła z córką bezpiecznie wrócić do miasta, czego z kolei nie chce mężczyzna, do którego przyjechała z wizytą kobieta, jego dawna i pewnie bardzo przez niego lubiana znajoma. Snuje mi się przed oczami wątek, w którym przedstawię szaleńczy plan męczyzny. Otóż powiadomi on znajomego, zawiadującego odśnieżaniem dróg, aby na jakiś czas zaniechał wysyłania pługów, aby droga prowadząca ze skraju wsi do

miasta pozostawała nieodśnieżona, czym przynajmniej na jedną - dwie noce uniemożliwi wyjazd kobiecie, a sobie i jej da szansę na pogłębienie znajomości, odnowienie przyjaźni, a może nawet na narodzenie się miłości... nie może, tylko na pewno.

Nie wiedzieć czemu, nagle zapragnąłem wysupłać z portfela zmiętą karteczkę z numerami telefonów - w tym nowym, kupionym przez Ninę były jedynie trzy numery: Niny i sąsiadki z parteru, które dziwnym zbiegiem okoliczności zapamiętałem oraz do stryja Niny - ten ona sama wprowadziła do pamięci komórki. Na złożonej na pół kartce spodziewałem się odnaleźć kontakt do brata Jacka. Przypomniłem sobie, że obiecałem mu spotkanie tuż przed świętami, a było już wiadome, że przynajmniej do Trzech Króli nie pojawię się w mieście, a Jacek wyjeżdża przecież na misję.

Odnalazłem, ciesząc się przy tym jak dziecko. Dzwonię.

- Jacku, ja cię bardzo przepraszam, że tak pozostawiłem cię bez słowa... miałem wpaść... - rozwijam temat, opowiadam o zaproszeniu Niny, o przyjeździe do leśniczówki, o tym, że nareszcie czuję się wypoczęty, a on słucha mnie, przytakuje, bagatelizuje moją opieszałość, docenia fakt, że zadzwoniłem i nagle powiada:

- Adasiu, Bóg jednak nie życzył sobie, abym wyjechał do Afryki...

- Co ty mówisz?

- Upadłem tak nieszczęśliwie. Fatalnie złamałem nogę. Jestem w szpitalu. Lekarze nie dają mi szans na to, abym w miesiąc powrócił do dawnej sprawności. Poleżę jeszcze z dwa tygodnie w szpitalu, potem rehabilitacja, więc, jak zapewne się domyślasz, na tę misję pojedzie inny braciszek.

- Nie załamuj się. Zdrowie ważniejsze - mówię.

- Nie załamuję się. Może to była jakaś przestroga dla mnie.

- Może. W naszym szpitalu jesteś?

- Jak najbardziej. Puścić mnie nie chcą, zresztą jak tu poruszać się, będąc na wyciągu?

- Noga boli?

- Jak cholera! - spieszył się, ale i roześmiał. - Ale tu się mną opiekują. Możesz mi pozazdrościć.

- Pozazdroszczę, jak cię odwiedzę. W drugi dzień świąt odpowiada?
- Nie chciałbym ci niweczyć planów, ale jak się podzielimy opłatkiem, to bardzo chętnie skosztowałbym twojego koniaczku. W drugi dzień świąt można.

I w ten sposób dobrnęliśmy do końca rozmowy, a dopiero po jej zakończeniu zorientowałem się, że być może z obietnicą, jaką przed momentem złożyłem, należałoby się powstrzymać do czasu odbycia rozmowy z Niną. W końcu byłem od niej zależny i, mało tego, ona miała wobec mnie jakieś plany, których treści nie znałem. W ostateczności, miałem taką nadzieję, uśmiechnę się do Piotra, który odstawi mnie na dworzec, oczywiście przy założeniu, że w drugi dzień świąt kursują pociągi do miasteczka i z powrotem. Ale jeśli nawet tak jest, to czy ta droga na dworzec biegnąca przez las, jest przejezdna po wczorajszych i dzisiejszych opadach. I w ten sposób świąt przedstawiony w mojej opowieści jeszcze bardziej zbliżył się do tego realnego, w którym podobnie jak pani X zostałem uwieczniony. Jedyna różnica pomiędzy tymi świątami jest taka, że o ile w opowieści w naturę zaingerował czynnik ludzki, o tyle w świecie realnym zdany byłem jedynie na kaprysy aury. Nie mogłem jednak pisać, nie mogłem. Myśl o tym, że obiecałem Jackowi złożyć wizytę w szpitalu bez powiadomienia o tym zamiarze gospodarzy, także Niny, zadręczała mnie do tego stopnia, że przedpołudniowe pisanie nie wchodziło w grę, a i rola rezydenta jaką mi zaoferowano, a którą przyjąłem z egoistycznym entuzjazmem, przestała mi odpowiadać, a w każdym razie zaczynałem mieć wątpliwości, czy się do niej nadaję.

Zszedłem więc na dół, gdzie mnie nie czekano, bo domownicy wraz z Niną i jej matką zajęci byli przedświąteczną pracą i nie spodziewano się mnie zobaczyć wcześniej niż przy późnym obiedzie, toteż zgotowano mi zgoła nieoczekiwane radosne powitanie. Przysiadłem się do kuchennego stołu, gdzie lepiono właśnie pierogi - żona leśniczego z matka Niny, leśniczy mocował się w sąsiednim pokoju ze świerczkiem, Nina działała w kuchni przy

garnku z kapusta i grochem, a Piotr powrócił właśnie od koni, chwyciwszy po drodze skrzynkę z polanami drzewa.

- Cóż tam, panie Adamie - odzywa się leśniczyna - nie czas na wypoczynek?

- Nie czas, kiedy inni pracują. Szanowna pani nawet nie przypuszcza, w jak niezręcznej zostałem postawiony sytuacji, godząc się na błogi czas lenistwa... i to kiedy, przed samymi świętami, gdy akurat pracy jest najwięcej.

- A mnie się wydaje - wtrąca matka Niny - że wystarczająco dużo się pan ostatnio napracował. Niech pan nie zaprzecza, wiem to od Nineczki.

- Albo toż praca... pisanie?

- Kiedy to nie tylko pisanie, bo i prowadzenie fundacji, i projekt kulturalno-oświatowy, i wykłady.

- Zdaje się, że wymienione przez panią zagadnienia mam już z głowy. Stałem się wolnym człowiekiem. Jedyne to pisanie mi zostało, ale pozostawię je na po świętach.

Uśmiecham się, a taki uśmiech znaczy niewiele, ot rozsunięcie warg, bo w gruncie rzeczy każdorazowe wspomnienie przyspiesza puls. Niepotrzebnie.

- A ja w pana wierzę - odzywa się Nina - ale rozumiem pana, że nie może usiedzieć. Domaga się pan pracy - bardzo proszę. Cioteczko, znajdzie się coś dla pana Adama? Byle nie coś dokuczliwego.

Stryjenka jak na zawołanie obmywa dłonie, wyciera.

- Czy pan rzeczywiście tego pragnie? Pragnie pan pomóc kobietom?

- Bez dwóch zdań. Po to zszedłem z góry.

- To niech pan pozwoli ze mną.

Przechodzimy do stołowego pokoju, gdzie mijamy się z leśniczym i Piotrem. Kobieta otwiera kredens, wyjmując zeń srebrną zastawę: talerze, talerzyki, sosjerki, miseczki, kubki, potem sztucce; następnie wydobywa z wnętrza głębokiej szafki lichtarz i pudełko. Postawiła to wszystko na stole. Patrzy na mnie pytająco, jakby z niedowierzaniem.

- A nie pogniewa się pan o to, że... rozumie pan... to kobiece zajęcie. Zwykle ja tym się zajmowałam.

Kręcę głową i wciąż nie wiem na czym miałyby polegać moja pomoc aż do chwili, kiedy leśniczyna otworzyła pudełko. W nim zmechaczone ściereczki i kreda, kawałki kredy.

- To ja może pokażę, jak to ma wyglądać - mówi i sięga z szuflady szare płótno, rozkłada je na połowie blatu stołu, stawia lichtarz, bierze w rękę kredę i starannie zarysowuje nią całą srebrzystą konstrukcję pięcioramiennego świecznika. - A potem wycieramy dokładnie ściereczką, najpierw tą, a później tamtą. Raz do roku czyścimy te srebra - dopowiada.